

Agnieszka LEKKA-KOWALIK

PRZYWRACANIE RAJU

Na najnowszą książkę Ryszarda Legutki¹ składają się teksty publikowane między innymi w „Rzeczpospolitej” i „Wprost” oraz wygłaszane w różnych miejscach i przy różnych okazjach. Zebranie ich w jednym tomie okazało się jednak znakomitym pomysłem. Każdy z artykułów poświęcony jest bowiem istotnemu sporowi toczącemu się aktualnie w Polsce, przy czym, jak mówi sam Legutko, „w Polsce” znaczy tyle co „wszędzie” (s. 7). I każdy tekst napisany jest z właściwą autorowi swadą, niepozabawioną ironii błyskotliwością i bezkompromisowością. Dopiero jednak przeczytane „jednym tchem” stają się one wszystkie wnikliwą diagnozą naszej współczesnej polskiej – i światowej – rzeczywistości; diagnozą, jak sądzę, słuszną.

Elementy tej diagnozy Legutko wskazuje we wstępie „Od autora”. Po pierwsze, wbrew deklaracjom o pluralizmie stanowisk, współczesny świat ulega coraz wyraźniejszej polaryzacji: „żyjemy w czasach, gdy dualizm zawładnął ludz-

kim myśleniem” (s. 7). Po drugie, „główna linia dzisiejszych sporów przebiega między tymi, którzy uważają, iż mają pewien pomysł na uporządkowanie świata, oraz tymi, którzy głoszą, iż mają pomysły na uporządkowanie człowieka” (tamże). Ci pierwsi chcą zbudować system, który pozwoli realizować wszelkie style życia w duchu wolności, równości i braterstwa. Ci drudzy z kolei pragną wychowywać człowieka na dobrą, odpowiedzialną, dojrzałą jednostkę. Legutko otwarcie deklaruje swoją sympatię dla reformatorów człowieka, a nie dla budowniczych doskonałego systemu. Pod adresem tych ostatnich formułuje dwa zasadnicze zastrzeżenia. Otóż systemy, nawet jeśli deklarowana jest ich otwartość, pozostają rygorystyczne co do akceptowanej koncepcji świata, człowieka i wychowania i w tym sensie oparte są na złudzeniu neutralności. Co ważniejsze, reformatorzy systemowi, zdaniem Legutki, składają obietnicę, która jest wewnętrznie sprzeczna: uważają, że doskonale skonstruowany porządek pozwoli nam uwolnić się od ograniczeń i zbudować świat, w którym nie ma dyskryminacji, nietolerancji, nierówności. To właśnie jest określane jako tytułowe „przywracanie

¹ R. Legutko, *Raj przywrócony*, Ośrodek Myśli Politycznej-Wyższa Szkoła Europejska im. księdza Józefa Tischnera, Kraków 2005, ss. 190, indeks.

raju”. Pokazanie owej wewnętrznej sprzeczności Legutko uznaje za cel swych rozważań. Wydaje się jednak, że autor osiągnął znacznie więcej: ukazał, choć wprost tezy tej tak nie sformułował, że realizacja powziętych a priori pomysłów na uporządkowanie świata tak, byśmy bez przeszkód mogli oddawać się „własnym stylom życia”, prowadzi do swoistego totalitaryzmu, a rozmaite „izmy”, które panoszą się w naszej rzeczywistości, to nic innego jak aspekty owych pomysłów.

Pomysłem takim jest na przykład liberalizm, poddany analizie w tekście *Dlaczego nie lubię liberalizmu*. Liberalizm – twierdzi Legutko – jawi się swoim zwolennikom nie tylko jako idea społeczeństwa wolności, ale również jako przeznaczenie świata i jedyna możliwa płaszczyzna współżycia między ludźmi i między narodami. Liberalizm zmierza do zbudowania świata, w którym wszyscy będą mieli możliwie jak najwięcej wolności – stąd świadomie rezygnuje z metafizycznych rozstrzygnięć co do natury człowieka, co do prawdy czy sensu uprawiania polityki, natomiast z góry narzuca sposób rozstrzygania wszelkich kwestii. Tym sposobem liberałowie zawsze ustawiają się w pozycji wyższej – przejmują rolę organizatora w stosunku do wszystkich, nawet tych, którzy nie mają ochoty się im poddać. Jednakże – argumentuje Legutko – nie można pełnić roli organizatora, nie przesądzając kwestii szczegółowych, więc owe deklaracje niewtrącania się to mistyfikacja: „Nieliberalne struktury nie są akceptowane, bo nie ma dobrego powodu, by liberalnych zasad nie stosować, na przykład, do szkoły, rodziny czy związków wyznaniowych. Jeśli owe zasady określają relacje między jednostka-

mi, to zapory blokujące ich stosowanie w mniejszych strukturach muszą się ostatecznie okazać iluzoryczne” (s. 15). Liberałowie nie tworzą ram, by ludzie mogli robić to, co chcą, ale raczej mówią im, co powinni robić, przyjąwszy liberalne założenia, nawet jeśli nie będą mieli na to chęci lub uznają owe dyrektywy za niedorzeczne. Innymi słowy, liberałowie usiłują wprowadzić w życie utopię, czyli system ostatecznie rozwiązujący podstawowe problemy organizacji społeczeństwa. By to jednak uczynić, muszą dokonać rekonstrukcji życia zbiorowego we wszystkich jego wymiarach, a rekonstrukcja taka nie dopuszcza, aby ludzie robili to, czego pragną, ale zakłada, że będą się oni zachowywać zgodnie z oczekiwaniami reformatorów. Liberałowie myślą więc dualistycznie: ktokolwiek nie kwalifikuje się do obozu wolności, jest wrogiem wolności. Okazuje się zatem, jak pokazuje Legutko, że liberalizm usiłuje totalnie regulować życie społeczne. Rzecz ma swoje konsekwencje również w sferze intelektualnej: narzuca on totalną formę myślenia typu „albo-albo”. Fakt zaś, że liberałowie wypowiadają negatywne lub pozytywne opinie na temat wszelkich rozwiązań, twierdzi Legutko, płynie z prostoty ich kryterium: liberał nie zastanawia się, czy jakieś rozwiązanie jest dobre, ale czy jest bezpieczne. Stąd też liberałowie mają pełne ręce roboty, tropiąc dyskryminację, nietolerancję, ograniczanie swobód czy naruszanie praw. W modelu liberalnym – zaznacza Legutko – „niemal każde słowo, zachowanie czy idea może być odczytane jako polityczne zagrożenie kogoś lub czegoś” (s. 19). Nietrudno się przekonać o trafności tej diagnozy, sięgając do gazet i czasopism, a w Internecie można znaleźć nawet specjalne or-

ganizacje zajmujące się tropieniem i rejestracją wszelkich objawów dyskryminacji. Terminy „dyskryminacja” i „wykluczenie” określają najcięższe z możliwych przestępstw, a nie ma takiej mniejszości, która w oparciu o tę czy inną teorię nie mogłaby dowodzić, iż czuje się dyskryminowana. To zaś powoduje chaos wyływający z niemożliwych do zaspokojenia roszczeń. Kiedyś miarą wolności słowa – sarkastycznie zauważa autor – było publikowanie Sołżenicyna, dziś walczymy o możliwość publicznego przeklinania lub publikowania pornografii. „Liberałowie – pisze – będą bronili najgłupszych przejawów działania ludzkiego, starając się w swoim wielkodusznym protekcjonalizmie znaleźć dla nich miejsce w świecie rządzonym przez zasady bezkolizyjnego ruchu. Ale wielkoduszość mija, kiedy stykają się z czymś, co – nieważne jak wartościowe – zagraża ich monopolowi. Wówczas straszą Hitlerem i obozami koncentracyjnymi” (s. 23). Dodajmy, idąc za myślą autora, iż liberałowie sami stają się rzecznikami totalnej regulacji wszystkiego; a ktoś, kto deklaruje się jako nie-liberał, staje się, według nich, dziwołagiem. Wykluczyć go oczywiście nie można – byłoby to nieliberalne – ale należy go uznać za cierpiącego na jakąś „fobię” i go z niej wyleczyć.

W eseju *Prawo do wszystkiego* z kolei Legutko przekonująco pokazuje, jak przepisy prawa stały się środkiem budowy liberalnego społeczeństwa wraz z wszystkimi tego skutkami. Posługiwanie się kategorią praw – stwierdza – czyni większość naszych dyskusji bezsensownymi. Twierdzenie, że ktoś miał prawo do czegoś, powoduje, że nie ma sensu zastanawiać się nad konsekwencjami tych uprawnień. „Język uprawnień

unieważnia problem odpowiedzialności. Róbnymy to, do czego mamy prawo, a reszta nas nie obchodzi” (s. 28). A prawa – zauważa Legutko – mają tendencję popadania w karykaturę, na przykład zakaz publikacji Sołżenicyna i pornografii są kwalifikowane jako ten sam rodzaj cenzury. Prawa mają też tendencję do rozmnażania się: mówi się już nie tylko o prawie do śmierci czy do aborcji, ale także o prawie do fryzury. „Namnażanie się” praw – stawia diagnozę Legutko – spowodowane jest tym, iż przejście od praw podstawowych, przyrodzonych, do praw szczegółowych, staje się w państwie liberalnym konstrukcją utworzoną przez prawników i prawodawców. A oto przykład: próby nadania związkowi homoseksualnym charakteru małżeństwa wywodzone są z prawa do równości wobec prawa, co oznacza, że prawa cywilne umożliwiają dowolne manipulacje instytucją małżeństwa. „Dlaczego zatem – zapytuje Legutko – wykluczyć z tej równości praw poligamistów i kazirodców?” (s. 32). Dokładniej omawia tę kwestię w tekście *Homoseksualiści wszystkich krajów, łączcie się*: prawo do wchodzenia w związki małżeńskie posiadają ci, którzy spełniają kryteria podane w definicji małżeństwa. „Jeśli zmienimy definicję małżeństwa – włączając w nie również związek dwóch mężczyzn czy dwóch kobiet – to nie jest to żadne zrównanie praw, lecz arbitralny eksperyment społeczny, umożliwiony przez arbitralną zmianę znaczenia pojęć. Można przedefiniować małżeństwo w ten sposób, iż będzie obejmowało rodzeństwo i głośno domagać się zakończenia szykanowania takich par anachronicznym i jawnie dyskryminacyjnym zakazem kazirodztwa” (s. 75). Legutko spodziewał się, że obrońcy praw wezmą pod

opiekę również i te grupy. Nie czekaliśmy zresztą długo na spełnienie się tych przewidywań. „Jeśli dziecko może mieć dwie mamy, to dlaczego nie dwie mamy i jednego tatę?” – argumentują działacze ruchu na rzecz wielożeństwa². Niekiedy przyznawanie kolejnych praw, na przykład prawa do noszenia dredów w szkole, bywa farsą. Czy jednak nie są nią również prasowe szaleństwo polegające na tropieniu przypadków łamania tego prawa (dodajmy: zawsze jest to głos potępienia), a także biurokratyczne zarządzenia, które regulują jego egzekwowanie. Legutko przywołuje w tym miejscu myśl Rogera Rustona, że bez osadzenia praw człowieka w jakiejś mocniejszej koncepcji antropologicznej uprawnienia przerodzą się w subiektywne żądania kierowane do państwa i społeczeństwa. Diagnoza Legutki jest bezlitosna: „Ten proces zresztą już się dokonuje: uprawnienia stają się powoli kaprysami rozpieszczonego dziecka, któremu rozwój cywilizacyjny przewrócił w głowie i [...] odkrył cudowny sposób niemyślenia o konsekwencjach swych kaprysów. Rozmnażające się nad miarę, wyzbyte kontekstu etycznego i filozoficznego, oddane arbitralnym rządóm prawników i ideologów, uprawnienia nie tylko skłaniają człowieka do ignorowania odpowiedzialności za skutki swoich działań, ale zwalniają go z obowiązku tłumaczenia się z tego, co powiedział i zrobił” (s. 34). Autor nie dopowiada jeszcze jednej konsekwencji: jeśli nie istnieją obiektywne racje przyznawania uprawnień – a racji takich mogłaby dostarczyć jedynie metafizyka człowieka – to proces ich nadawania jest

kwestią siły, czy to siły politycznej, czy jakiegokolwiek innej. Racja siły zastępuje siłę racji, a to już jest powrotem do barbarzyństwa.

Nie inaczej kończy się myślenie w kategoriach społeczeństwa otwartego, traktowanego jako ogólny model życia zbiorowego. Legutko rozważa je w tekście *Spółeczeństwo otwarte a idea solidarności*. Pozytywne konotacje modelu społeczeństwa otwartego mają swoje źródło w przekonaniu, że życie zbiorowe ulega postępującej pluralizacji, a otwartość stanowi najwyższą normę moralną, gdyż umożliwia realizowanie wartości w społeczeństwie pluralistycznym. Społeczeństwo otwarte ma kilka wyznaczników: brak jednoczącego ludzi światopoglądu i wspólnego celu moralnego – należy abstrahować od ustaleń moralnych i metafizycznych, zadowolając się ustaleniami politycznymi i prawnymi; krytyczny indywidualizm – człowiek jest w tym społeczeństwie sam dla siebie najwyższym autorytetem, dzięki krytycznej analizie rozstrzygającym o dobru i złu; kontraktowy charakter związków międzyludzkich – związki te można modyfikować zgodnie z orzeczeniami rozumu, można ulepszać, ale i rozwiązywać. Społeczeństwo otwarte nie jest jednak w stanie spełnić pokładanych w nim oczekiwań. Jak pokazał Jan Paweł II, którego myśl przywołuje Legutko – więzi moralne i społeczne są niezbędne do pełnego rozwoju człowieka. „Ów przedmiot dążeń, jakim było społeczeństwo otwarte, rozmija się z ludzkim doświadczeniem i wyrasta ze złej interpretacji natury ludzkiej” (s. 60). Zauważmy, że to właśnie społeczeństwo otwarte jest rezultatem aplikacji liberalizmu rozumianego jako sposób urządzenia świata

² *Poligamiści, łączcie się*, „Newsweek” z 23 IV 2006, s. 56.

z wszystkimi wcześniej omówionymi konsekwencjami.

Tekst *Feminizm na uniwersytecie* ukazuje z kolei inny pomysł na budowę raju poprzez reformę systemu. Feminizm – pisze Legutko – jest wielkim projektem emancypacyjnym, jednoczącym teorię i praktykę, który z jednej strony „opisuje zniewolenie kobiet przez mężczyzn, a z drugiej stara się ten nieszczęsny stan zmienić” (s. 64). Ten myślowy schemat – komentuje nieco ironicznie Legutko – upoważnia do wypowiedzania się na temat Homera, genetyki, współczesnej prozy, filmu, uniwersytetu, konstytucji, gramatyki, filozofii, teologii, ale celem tych wypowiedzi jest przede wszystkim wytropienie przejawów dyskryminacji kobiet w różnych dziedzinach życia. Legutko przekonująco pokazuje, że teoretyczna oprawa dzisiejszego feminizmu powstała poza nim i co więcej – że feminizm nie jest zdolny do teoretycznej refleksji: „Skoro punkt wyjścia i punkt dojścia myśli feministycznej jest jasny, określony i nienegocjowalny, to poza radykalizmem i ekscentrycznością, nie da się wymyśleć w teoretycznej materii feminizmu niczego nieprzewidywalnego i odkrywczego” (s. 67). Dlaczego więc – zadaje kluczowe pytanie autor – feminizm dotarł na uniwersytety i zdobył na nich tak silną pozycję? Uniwersytet był przecież zawsze miejscem prowadzenia badań i nauczania, a nie realizowania projektów emancypacyjnych. Diagnoza Legutki jest prosta – uniwersytety uległy ideologizacji, dostosowując swoje projekty naukowo-edukacyjne do kolejnych postaci „walki” o różne sprawy, a feminizm jest jedną z nich. Legutko przyznaje, że nie wszyscy akademicy angażują się w te projekty; wielu nimi gardzi, ale dla do-

bra swojej kariery milczą, chociaż zdarza się, że we wstępach i zakończeniach swych prac nadmieniają, jak wiele zawdzięczają feminizmowi, mimo że w samej pracy kompletnie go ignorują. Pojawia się natychmiast pytanie – dlaczego zatem ulegają? Można się domyślać, że czynią to dla swojej kariery, a zatem trzeba skonstatować, że myślenie w kategoriach „swój-wróg” i totalne podporządkowanie działań projektowi budowy lepszego świata już się w życiu uniwersyteckim pojawiło. Jeśli diagnoza ta jest słuszna, to sytuacja staje się niezwykle groźna, gdyż wkrótce może zabraknąć sił społecznych, zdolnych ją zmienić.

Intelektualiści – twierdzi autor w tekście *Intelektualista w Syrakuzach* – mają skłonność do wyjątkowo łatwego ulegania „ideologicznym błyskotkom”: niegdysiejszy afekt dla proletariatu i kobiet-traktorzystek został dziś zastąpiony afektem dla małżeństw homoseksualnych i „wyzwolenia” kobiet. Jednakże „pragnienie zasadniczej przebudowy czegoś, obojętnie czego, pozostało niezmienione” (s. 79). Zaangażowanie się w „walkę na rzecz” ma motywację moralistyczną. Siłą napędową współczesnego intelektualisty – zdaniem Legutki – jest miłość do ludzkości: „Wielkie marzenie o emancypacji i równości jest nadal mocne; zmieniają się jedynie ci, którzy mają być wyemancypowani i zrównani” (s. 81). Elity wolnego świata uczyniły walkę z tyranią swym hasłem bojowym, ale płonie w nich moralistyczny ogień naprawienia rzeczywistości według wielkich projektów budowy raju. Oczywiście kończy się to ingerowaniem we wszystkie możliwe sprawy na wszystkich poziomach społeczeństwa. Dobrym przykładem jest walka z przemocą w rodzinie.

Okazało się – pisze Legutko w tekście *Przemoc w rodzinie* – że w Polsce biją wszyscy: robotnicy i chłopi, studenci i profesorowie, intelektualiści i prostaczekowie; rodzina jest miejscem strasznym i najwyższy czas przystąpić do moralnej krucjaty przeciwko temu zjawisku. W owej krucjacie, zauważa autor, dwie rzeczy napawają niepokojem. Po pierwsze, dochodzi do zacierania różnic między tym, co jest patologią, a tym, co nią nie jest: katowanie dziecka okazuje się tym samym, co rodzicielski klaps. Po drugie, ów brak rozróżnień powoduje, że faktycznie proponuje się walkę z wszystkimi, a „walka z wszystkimi jest walką z nikim konkretnym, czyli z kim się akurat trafi” (s. 155). Przekonanie, iż należy wyzwać i walczyć, tak charakterystyczne dla budowniczych rajów, sprawia, iż intelektualiści pozostają głusi na rozsądną uwagę autora: „Ktoś, kto nie jest zdolny do dokonywania podstawowych rozróżnień, nie powinien brać się za moralne krucjaty” (s. 155).

Sytuacja jest o tyle groźna, że nie bardzo wiadomo, gdzie – jeśli nie wśród twórców, naukowców i intelektualistów – należałoby szukać niezniewolonych umysłów. A jeszcze groźniejszą czyni ją akceptowany obecnie ideał wykształcenia, który Legutko komentuje w tekście *W stronę umysłowej pospolitości*³. Ideał ten zakłada, że nie ma powodu, aby dysponować głębszą wiedzą na jakikolwiek temat (wiedzą pogardliwie określaną jako teoretyczna), trzeba natomiast znać języki, umieć obsługiwać komputer i posiadać inne umiejętności, które pozwolą zdobyć wiedzę „potrzebną” dla realiza-

cji życiowych planów. Legutko doskonale ilustruje swe rozważania: prace z języka polskiego pisze się grupowo, ponieważ to pozwala wykluczyć indywidualną odpowiedzialność, a przez to hierarchizację i stresy; na lekcjach rozwiązuje się krzyżówki i rebusy oraz układa komiksy; język dostosowuje się do osiedlowej żulii. Utrwała to umysłową pospolitość. Łatwo przewidzieć efekty takiego sposobu kształcenia: tak zwany inteligent „zmieni się w akulturalnego fachowca w wąskiej dziedzinie, fachowca, z którym trudno będzie nawiązać kontakt intelektualny wykraczający poza przekaz telewizyjny i inne formy kultury masowej” (s. 162). Trudno w tym miejscu nie przywołać dowcipu w czasach socjalizmu opowiadanego o „inteligentach z awansu”: – Czy byli państwo na *Weselu Figara*? – Nie, ale posłaliśmy tort. Można się obawiać, iż niedługo nie będzie się z czego śmiać, bo takie rozmowy będą na porządku dziennym. Reformowaniu szkoły w ideologii przeciwstawienia „wiedzy” i „umiejętności” sprzyja, zdaniem Legutki, masowość oświaty – szkoła staje się przechowalnią, której podstawowym celem jest trzymanie dzieci z dala od ulicy. „Jeśli chcemy masowości, to będziemy wówczas mieć szkołę z komiksami i horoskopami” (s. 165). Wydaje się jednak, że za komiksami i horoskopami stoi coś więcej niż tylko masowość. Jest oczywiste, że nie wszyscy są równie zdolni do nauki i równie nią zainteresowani – a to wprowadza hierarchizację, nierówność, wykluczenie, czyli wszystko, co najgorsze. Programy szkolne powinny być tak układane, by tym zjawiskom przeciwdziałać i wyrównywać niesprawiedliwości! Edukacyjna ideologia znakomicie wpisuje się więc w aprioryczny

³ Artykuł ten opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Ethosu”. Zob. „Ethos” 19(2006) nr 3 (75), s. 143-148.

program naprawy świata, o którym pisze Legutko. Dodajmy również, że zapewne specjaliście bez pewnej ogólnej wiedzy trudno będzie faktycznie być podmiotem życia społecznego – decydować o nim będą „profesjonalni politycy”, którzy wiedzą, co jest dla wszystkich najlepsze.

Wyrażone przeze mnie powyżej obawy nie są, niestety, jedynie czarnowidztwem. Lektura kolejnych tekstów Legutki dostarcza argumentów. Znakoomite analizy istoty dwóch pomysłów ustrojowych przeprowadzone w tekście *Demokracja i republika* pokazują, że termin „demokracja” wchłonął treści początkowo mu obce, a nawet sprzeczne. Mianem demokracji obejmuje się dziś wszystkie wartościowe elementy życia społecznego. To zaś – zauważa Legutko – nie pozwala dojrzeć specyfiki współczesnej demokracji. Jej niedostatki natomiast zaczynają być traktowane nie jako strukturalne słabości tej formy ustroju, ale jako efekt niedostatecznej demokratyzacji. Słabości te Legutko ukazuje w tekście o wymownym tytule *Demokratyczna brzydota*. Demokracja w sensie ścisłym określa system wyłaniania i przekazywania władzy poprzez wolne i powszechne wybory. Wszelkie rozszerzanie demokracji – podkreśla słusznie Legutko – ze sfery politycznej na sferę gospodarczą, rodzinną czy religijną wymaga uzasadnienia. Tymczasem zewsząd otacza nas nabożna postawa wobec demokracji, tak jakby rządy prawa czy wolność osobista, społeczna i polityczna były nieodłącznie związane z demokracją i jedynie z nią. Nie jest to bynajmniej prawda – argumentuje autor – a co więcej, demokracja wykazuje rozmaite słabości strukturalne. Dwie z nich Legutko analizuje jako najistotniejsze.

Po pierwsze, demokracja jest prześląknięta duchem partyjniactwa: partie decydują o kandydatach, partie zabiegają o korzystne dla siebie prawo, partie wreszcie decydują o obsadzie stanowisk, a przez to o rozdziale uprawnień i przywilejów. Co więcej, partia ma „zobowiązania” wobec swych wyborców, by zdobyć i utrzymać władzę. Moraliści domagają się wprowadzenia etyki do życia publicznego i zapewne mają rację – pisze Legutko – ale ich pragnienia rozmiągają się z praktyką. Miesiące po wyborczym zwycięstwie Prawa i Sprawiedliwości stanowiły, niestety, doskonałą ilustrację analiz Legutki. Zauważmy jednak istotną rzecz – to co na ogół bierzemy za patologię demokracji, uznaje on za strukturalną cechę tej formy ustroju: „Demokracja posłuszna bezwzględny normom moralnym, bez wszechobecnego ducha partyjniactwa i stronnictwo, to demokracja, jakiej nie ma i być nie może” (s. 107). Próby wypracowania mechanizmów przeciwdziałania partyjniactwu odwołują się do politycznego rozumu (dodajmy – i dojrzałości) przeciętnego obywatela-wyborcy. Jednakże, twierdzi Legutko, człowiek demokratyczny wcale nie jest szczególnie rozumu – i to właśnie do takiej wizji człowieka odwołują się organizatorzy kampanii wyborczych, a nie do wizji racjonalnego wyborcy. A ponieważ – jak szczegółowo pokazuje Legutko w tekście *Demos i elity* – system demokratyczny nie toleruje rzeczywistości niedemokratycznej i z istoty swej jest niechętny wszelkiemu elitaryzmowi, nie możemy liczyć, że tyranii „demosu” przeciwstawią się właśnie elity. Demokracja – twierdzi autor – zwiększa nieuchronnie swój stan posiadania, uchodząc za najlepszy z możliwych ustrojów,

a więc każdy, kto się jej opiera, chociażby głosząc istnienie jakiejś hierarchii w sztuce, prędzej czy później zostanie zmarginalizowany – a tego współczesne elity boją się jak ognia, bodaj bardziej niż niegdyś więzienia.

Cztery teksty Legutko poświęca kwestiom związanym z chrześcijaństwem. Za tytułowym *Ostrzałem celibatu* – atakiem na rzekome niedostosowanie Kościoła katolickiego do współczesności – tkwi, zdaniem autora, atak na koncepcję natury ludzkiej i na tradycję moralną, która ukształtowała kulturę zachodnią. Tradycję tę można wyrazić następująco: są w naturze człowieka elementy niższe i wyższe, a rozwój moralny polega na tym, by owe elementy niższe – popędy – zdyscyplinować i uporządkować tak, by służyły celom wyznaczanym przez to, co w człowieku wyższe. Jest to niewątpliwie słuszna diagnoza, chociaż Legutko nie dopowiada, że ów atak wpisuje się doskonale w całą liberalno-demokratyczną ideologię, przeciwną wszelkiej hierarchizacji, choćby wewnątrz człowieka, uznającą uleganie popędom czy zachciankom za wyraz wolności i widzącą zagrożenie dla wolności w samej hipotezie istnienia „celu człowieka”. Ta sama ideologia stoi za wieloraką krytyką Kościoła katolickiego, postrzeganego jako siła anachroniczna i groźna dla współczesnych tendencji demokratycznych, wolnościowych i egalitarnych. Trend ten doskonale ukazuje Legutko w eseju *Krzywe zwierciadło współczesności*. Owym „krzywym zwierciadłem” okazują się seks i polityka, które powoli stają się kluczem do mówienia o religii i Kościele w środowiskach religijnie obojętnych. Daje to jednak wgląd nie tyle w to, co dzieje się w Kościele – komentuje autor – ile

w świadomość tych środowisk, które – dodajmy – często urządzają swoiste „polowania” na potknięcia katolików, zwłaszcza księży. Może jest to swoiste poszukiwanie usprawiedliwienia dla własnego postępowania, kierowane myślą: jeśli robią tak nawet w Kościele, to wszystko ze mną w porządku. O to jednak należałoby już pytać psychologów. Faktem jest – argumentuje Legutko w tekście *Ostatni przesąd Europy* – że chrześcijaństwo w sposób zasadniczy kształtowało przez wieki kulturowe oblicze naszego kontynentu. Tymczasem społeczeństwa europejskie, a już z pewnością ich elity, są do chrześcijaństwa silnie uprzedzone: „W czasach, kiedy zwalczą się wszystkie możliwe uprzedzenia, kiedy jakiegokolwiek wzmianki mogące być interpretowane jako negatywnie odnoszące się do rasy czy płci są surowo piętnowane, kiedy o wszelkich możliwych mniejszościach należy mówić z szacunkiem, chrześcijanie, a konkretnie katolicy, są jedyną grupą, o której można mówić krytycznie, zaś złośliwe uwagi o Kościele katolickim uchodzą za obowiązkowy rytuał dla każdego, kto chce uchodzić za osobę ogólnie postępową” (s. 124). Wyrazem tego uprzedzenia było – zdaniem autora – odrzucenie odniesienia do chrześcijaństwa w preambule Konstytucji Europejskiej. Kościół widziany jest bowiem jako zagrożenie dla swobód, uprawnień demokratycznych i skutecznej walki z wszelką dyskryminacją. Jeśli jednak przyjmie się, że w Unii Europejskiej prawo powinno przyzwalać na dokonywanie aborcji, wolność wypowiedzi aż do bluźnierstwa czy zawieranie małżeństw homoseksualnych, to odniesienie do chrześcijaństwa przestaje być wypowiedzią historyczną o źródłach europejskiej tożsamości,

a staje się niebezpiecznym wzmocnieniem idei przeciwnych duchowi Unii. Nie chodzi więc o przeszłość – konstatuje Legutko – ale o terażniejszość i o przyszłość. Pominięcie odniesienia do chrześcijaństwa – dodaje – oznacza faktycznie „usankcjonowanie uprzedzenia, będąc w istocie czymś w rodzaju motywowanego ideologicznie kłamstwa” (s. 125), co źle rokuje przyszłym praktykom unijnym. Uważny czytelnik bez trudu dostrzeże w opisanych przez autora procesach ten sam rodzaj totalitarnego myślenia, o którym mówił Legutko w innych tekstach: świat należy urządzić według planu i biada tym wszystkim, którzy sobie tego nie życzą. Próby wyrugowania chrześcijaństwa mają swe konsekwencje także na płaszczyźnie intelektualnej. W eseju *Co filozof zawdzięcza chrześcijaństwu* Legutko podejmuje – niemal w duchu Chestertonowskim – temat stosunku wiary do rozumu. „Wiara nie pomoże rozumowi uporać się z żadną z kwestii – pisze – ale powstrzyma go od popadnięcia w to, co filozofowie greccy nazywali mizologią, a więc autodestrukcją i samonienawiść wynikłe z odkrycia własnej bezsilności i skłonności do obezwładniającego sceptycyzmu” (s. 137). Chrześcijaństwo pomocne jest także w odczytaniu ludzkiej kondycji, a szczególnie cierpienia. Świadeństwo Krzyża staje się źródłowym wglądem w istotę człowieczeństwa. Można powiedzieć, że z tej perspektywy chrześcijaństwo okazuje się obroną przed nihilizmem – choć sam Legutko takiej tezy nie formułuje⁴.

⁴ Zob. V. Possenti, *Nihilizm teoretyczny i śmierć metafizyki*, tłum. J. Merecki SDS, Polskie Towarzystwo Tomasza z Akwinu, Lublin 1998.

Analiza swoistej tendencji nihilistycznej obecna jest w eseju „Polski problem numer jeden”. Ów tytułowy problem pojawił się w wyniku transformacji ustrojowej po roku 1989, a jest nim „mikromania”, czyli przekonanie, iż Polacy nie mają do odegrania w świecie żadnej roli, poza starannym powieleniem drogi społeczeństw zachodnich. Każdy, kto myśli inaczej, zaczął się jawić jako awanturnik, a co najmniej jako osobnik niedojrzały, potencjalnie czy aktualnie niebezpieczny. „Polacy przyzwyczaili się do umysłowego lenistwa” (s. 172) – stawia diagnozę Legutko, a przez to „Polak we współczesnym świecie jest raczej gościem niż gospodarzem” (s. 175). Jeśli w świetle analiz dokonanych przez Legutkę pomyślimy o popularnym dziś wyśmiewaniu się z patriotyzmu jako postawy „zaściankowej” i „nieeuropejskiej”, o uporczywym poszukiwaniu „czarnych kart polskiej historii” i o próbach wykorzenia Polaków z tradycji, nie będzie nas dziwić, że fraza „jestem Polakiem” wypowiedzana jest przez młodych ludzi cicho i z zażenowaniem. Zapomina się przy tym, że duma z bycia Polakiem i dobra pamięć historyczna okazały się skuteczną bronią w walce z zakusami państwa totalitarnego i że raz jeszcze mogą się okazać skuteczne w walce z kolejnymi próbami urzędzenia nam rajy na ziemi.

W *Przedmowie* do książki Vittorio Messoriego *Czarne karty Kościoła*⁵ arcybiskup Bolonii kardynał Giacomo Baffi napisał: „Problem dechrystianizacji – według mnie – nie polega na utracie wiary, lecz na utracie rozsądku” (s. 5). Wydaje mi się to

⁵ Tłum. A. Kajzerek, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2003.

słuszna diagnoza, która dotyczy wielu, jeśli nie wszystkich sfer życia. Znakomite analityczne teksty Ryszarda Legutki, niepozbawione ironii i sarkazmu, diagnozę tę potwierdzają. W tym wszystkim przebłyskuje jednak nadzieja, którą wyraziła w swoim czasie Agatha Christie: „Ktoś, kto jest bogaty, logiczny, a do tego szalony, przez długi czas może z powodzeniem wcielać w życie swoje iluzje. [...] Ale w końcu to wszystko runie. Ponieważ [...] to, co się tu dzieje, nie jest rozsądne! A na to, co nie jest rozsądne, zawsze przychodzi kres”⁶. Podobną myśl, choć bez odwołania się do rozsądku, wyraża Legutko we wstępie „Od Autora”: „Nadzieje na odzyskanie rajów – pisze Legutko – istniały zawsze i pewnie będą istnieć, poruszając wyobraźnię

milionów. Zwykle mijał długi okres, zanim owe wizje rajów traciły powab i zapewne tak stanie się w przypadku wizji roztaczanej obecnie przed naszymi oczyma. Zanim to się stanie, dobrze jest jednak mówić wystarczająco często i głośno, że ta, którą jutro oceni się jako brzydulę, już dzisiaj nie jest przesadnie piękna” (s. 9). Jest to istotne – ponieważ bierne czekanie na upadek kolejnej wizji rajów zwiększa indywidualne i społeczne koszty jej realizacji. Czytelnikowi pozostaje zatem wraz z autorem apelować do wszystkich, by zauważyli, że i w tym przypadku „wielka liczba zalotników może wywołać masowy entuzjizm, ale urody nie przyda” (s. 8). Na szczęście, można dodać, ciągle jeszcze mamy do czynienia z „rajem przywracanym”, a nie – choć tak głosi tytuł – z rajem „przywróconym”. Pozostaje więc nadzieja, że nadal mamy czas, aby przywrócić... zdrowy rozsądek.

⁶ A. Christie, *Podróż w nieznane*, tłum. M. Białoń-Chałęcka, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999, s. 173n.